NUMER 50. DNIA 14-go GRUDNIA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Zaludnienie i własność ziemska w Polsce wieku XVI.

W towarzystwie prawniczem lwowskiem wygłosił na ostatniem posiedzeniu p. prof. dr. A. Winiarz bardzo interesujący i ciekawy wykład z zakresu stosunków ekonomicznych i gospodarczych Polski w wieku XVI. Wykład ten ma i dla szerszego ogółu, bliżej się historją nie zajmującego znaczenie, gdyż jest niejako typowym przykładem dróg i pracy najnowszej polskiej historjografji, a właśnie dla tego zasługuje na obszerniejsze streszczenie. W czasach dzisiejszych, mówił szanowny prelegent, kiedy nauki społeczne tak wysoko stanęły, może się i historjografja polska poszczycić dziełem, które sięga w podstawowe kwestje ekonomiczne i społeczne dawnej Polski. — Dziełem tem, które śmiało się może zmierzyć z zagranicznemi tego rodzaju publikacjami, jest wychodzące w Warszawie wydawnictwo źródeł dziejowych przez śp. Adolfa Pawińskiego i Aleksandra Jabłonowskiego, a obecnie przez tego ostatniego wydawane, które obok właściwych źródeł dziejowych, podaje począwszy od XII tomu serję prac pt. „Polska XVI w. pod względem geograficznym i statystycznym“. — W ten sposób opracował ś. p. Pawiński ziemie rdzennie polskie, a Aleksander Jabłonowski, ukończywszy opracowanie Ukrainy, przystępuje obecnie do opisu Czerwonej Rusi, tak, że pozostaje jeszcze do opracowania Pomorze, Prusy królewskie, Litwa, Czarna Ruś, Biała Ruś i Inflanty.

Autorowie opierają się zwłaszcza na jednej kategorji źródeł, a mianowicie na „Archiwum skarbu koronnego“, które z w. XVI, a szczególnie z czasów Stefana Batorego, dochowało się prawie w komplecie i dostarcza nieocenionego materjału do obrazu stosunków terytorjalnych, zaludnienia i własności ziemskiej ówczesnej. W archiwum tem znajdują się między innemi regestra poborowe. — Jak bowiem wiadomo, nie było w Polsce właściwie podatku stałego, ale uchwalał go w razie potrzeby sejm. Więcej zaś charakteru stałego posiadał podatek łanowy, wynoszący 2 grosze od łanu, który jeszcze w pakcie koszyckim zastrzegł król Ludwik Węgierski na potrzeby państwa stale, w razie zaś większej potrzeby uchwalał sejm podwyższenie tego podatku niejednokrotnie nawet do 24 groszy od łanu. — W ten sposób więc, od przestrzeni 30 morgów (tyle bowiem zawierał mniej więcej łan) uprawionego ręką chłopską gruntu, należało się królowi 2 grosze rocznie, nadwyżkę zaś uchwalała szlachta a płacili ją znowu chłopi, mieszczanie i szlachta zagonowa, która bez niczyjej pomocy grunta swoje uprawiała. — Celem ściągania owego

podatku wybierała szlachta każdego województwa poborców, którzy podatek ściągali parafjami i spisywali go w regestra, zawierające ilość łanów, kmieci, robotników, rzemieślników, zwłaszcza małomiejskich, którzy oprócz łanowego, zwanego także poradlnem, płacili jeszcze „szos“ od domów, względnie od majątku. Te regestra, pisane przez poborców, szły następnie do archiwum skarbu koronnego i tworzą dziś dziesiątki tomów. — Na pozór przedstawiają tego rodzaju źródła bardzo suchy materjał, ale jeżeli weźmiemy mapę dokładną np. sztabu generalnego i tam różnymi kolorami oznaczymy treść owych zapisków, to odrazu uwidocznią się stosunki własności ziemskiej, dadzą się oznaczyć granice poszczególnych powiatów, ziem i województw. — Z ilości łanów kmiecych, można dalej wnioskować o zaludnieniu miast i t. d.

Na podstawie więc wyników badań śp. Pawińskiego, który regestra owe wszechstronnie wyzyskał, przeszedł szan. prelegent ziemie rdzennie polskie t. j. Wielkopolskę, Małopolskę i Mazowsze.

Co się tyczy Wielkopolski, to obszar jej wynosi 1051 mil kwadratowych, czyli 57·911 kilometrów kw. (dla porównania przytoczył prelegent, że Galicja dzisiejsza obejmuje 78.500 kwadratowych kilometrów). — Rozmiar poszczególnych wojewodztw był rozmaity, co się tłumaczy faktem, że każde województwo stanowiło ongi za czasów piastowskich podziałów osobne księstwo. I tak: województwa kaliskie i poznańskie obejmowały mniej więcej po 300 mil kwadratowych, województwo inowrocławskie tylko 53, województwo brzeskie 59, sieradzkie 161 mil kwadr. Na tej przestrzeni Wielkopolski mieściło się 1117 parafii, 247 miast, 6471 wsi. — Średnio więc wypadało 6 wsi na milę kwadratową, chociaż naprzykład w powiatach bardziej zaludnionych, jak orłowskim, brzeskim, łęczyckim wypadało aż 15 wsi na 1 milę kwadratową.

Ogólna liczba łanów w całej Wielkopolsce wynosiła 40.274, to znaczy, że tyle było ziemi uprawnej. Na jednej mili kwadr. mieści się 325 łanów, gdyby wszystka ziemia była uprawioną.

Obok tego były folwarki szlacheckie, pierwotnie bardzo małe, a urastające później w miarę podnoszenia się pańszczyzny w latifundia, tak że przy końcu wieku XVI. liczba łanów kmiecych równała się liczbie łanów folwarcznych.

Ogółem w całej Wielkopolsce było 80.000 łanów uprawnych. Oprócz tego są jeszcze łany uprawiane przez szlachtę zagrodową. Najwięcej tych ostatnich było w powiatach łęczyckim i dobrzyńskim (400.820 włók, czyli półłanków).

Ś. p. Pawiński oblicza sumę ludności wiejskiej w Wielkopolsce na 678.528 dusz, ludności zaś miejskiej na 1,700.000 dusz. Ludność ta rozkłada się następująco: W powiecie brzeskim na jednej mili kwadratowej żyło 1270 dusz, tyleż w łęczyckim, w powiecie dobrzyńskim 900, sieradzkim 700, poznańskim 780 i t. d. (Dla porównania: obecnie w Belgji na 1 mili kwadratowej mieszka 7000 dusz, w Turcji, Grecji lub Hiszpanji 1200).

Bardzo interesujące są stosunki własności ziemskiej. W Wielkopolsce nie było wiele dóbr królewskich, co się tłumaczy rozdrobnieniem jej na drobne księstewka pierwotnie, skutkiem czego książę, chcąc zaskarbić sobie względy magnatów i duchowieństwa, musiał im rozdarowywać znaczne obszary. Wogóle najwięcej wsi królewskich utrzymało się koło starych grodów. Wsie te były stosunkowo bardzo duże, bo obejmowały po 20 do 30 łanów, podczas gdy wsie szlacheckie obejmowały łanów 5—8. Najwięcej dóbr królewskich znajdowało się w powiecie łęczyckim.

O wiele większy obszar zajmuje w Wielkopolsce w XVI. w. własność duchowna. Dobra arcybiskupa poznańskiego tworzą już całe klucze, a co ciekawe, że dobra duchowieństwa świeckiego stoją znacznie wyżej pod względem obszaru od dóbr duchowieństwa zakonnego.

Na 6000 wsi wielkopolskich w ręku duchowieństwa znajdowało się wsi 700.

Reszta pozostawała w ręku szlachty, przeważnie jednowioskowej. I to jest właśnie typowe w Wielkopolsce, że właścicieli, którzyby posiadali tylko część wsi, było bardzo mało, ale co wieś, to osobna rodzina. Najznakomitsze rody wielkopolskie jak Ostrorogowie, Leszczyńscy itd. posiadali tylko po kilka wsi, zawierających zwykle po 5 do 7 łanów.

Dobra szlachty zagonowej przedstawiały przeważnie typ drobnej własności. Są szla-

chcice, którzy siedzieli na 3 włókach (czyli półłankach) są też i tacy, którzy posiadali wszystkiego jedną czwartą, lub nawet jedną dwunastą część łanu. Własność ta była reprezentowaną przeważnie w powiatach łęczyckim i dobrzyńskim. W wieku XVI. jeszcze ta szlachta siedzi na roli i sama ją uprawia, niebawem jednak w miarę, jak się większa własność poczyna zaokrąglać w latifundia, osiadła szlachta zagonowa niknie.

Dok. nast.

Z literatury nowogreckiej

Dimitrios Wikelas.

POP NARCYZ

Przekład przez I. Z. A. (Dokończenie).

Podniósł się, usiadł, wsparł się rękami na kilimku, wlepił szeroko rozwarte oczy w drzwi i siedział jak skamieniały. Czy myślał on w tej chwili o czem? Nie, nie myślał; lecz wspomnienia uniosły go w czasy dzieciństwa, kiedy wdrapawszy się na stromą skałę ponad morzem, ciekawy był zobaczyć, jak wygląda człowiek trędowaty i jego szałas. Zdawało mu się, że i teraz widzi tego nieszczęsnego tak, jak go widział wtedy, siedzącego w cieniu, na odłamie skały. Odepchnięty od świata, zajmował się wtedy zbieraniem ziół, które rzucał do garnka, i z wielkim podziwem zwracał głowę ku młodemu klesze. Przypomniał on sobie odpychające oblicze trędowatego, aż mrowie go przejęło, i jak pocichutku zsunął się ze skały ku towarzyszom, którzy jako więcej bojaźliwi, zdaleka się trzymali.

— Wybacz ojcze, że cię zbudziłem, odezwał się stary Tanas; lecz trędowaty kona, i chce cię widzieć, a droga daleka, może go już nie zastaniemy przy życiu...

Pop Narcyz podniósł się.

Popadjo, rzekł głosem drżącym, daj mi kołpak i opończę!

Milcząc, spełniła jego żądanie.

— Jakto? pieszo pójdziesz taki kawał drogi? zapytała.

— Nie, nie, odezwał się stary Tanas, idę zaraz po majątek i wkrótce powrócę.

— Czy i ty Tanasie pójdziesz ze mną? zapytał pop.

— Naturalnie.

Starzec poszedł po majątek (tak nazywają wieśniacy zwierzęta domowe).

— Myjąc się, pop mówił do żony: uważaj, widywał trędowatego i pomagał mu, teraz przyszedł piechotą stamtąd i chce mi towarzyszyć. A dlaczego to robi? Dla miłości bliźniego. A ja się lękam być przy konającym, czy mam się wahać, kiedy należy spełnić obowiązek?

Żona słuchała, jak temi słowy dodawał sobie odwagi, lecz nie śmiała nic do nich dodać. Milcząc podała mu ręcznik, on się obtarł, włożył opończę i kołpak, pocałował żonę w czoło, wziął klucze od cerkwi i wyszedł.

Dom popa stał na skraju sioła, u podnóża stromej góry, a na jej pochyłości czepiały się jedne nad drugimi domki wiejskie, w pośród tych ostatnich, znajdowała się mała cerkiewka „Nawiedzenia Matki Boskiej“; była to stara bizantyjska budowa, z pewnym rodzajem wieży, wznoszącej się ponad skromnemi domkami.

Ścieżka brukowana, prowadząca do cerkwi,

była stromą, wązką i krętą, a przy palących promieniach słońca wejście było męczące.

Okiennice wszędzie były pozamykane, tylko w górnych częściach drzwi uchylonych, ukazywały się głowy wieśniaczek, oczekujących na przejście popa, gdyż przez starego Tanasa, były one uwiadomione o tem, że trędowaty umiera.

Pop, idąc spiesznie, na prawo i na lewo rzucał pozdrowienia, nie zatrzymując się nigdzie na gawędkę, do której widocznie wieśniacy chcieli go wciągnąć; zgrzany wszedł do chłodnej cerkwi pobożnie, wziął z ołtarza święte oleje i brewiarz, zawinął to w poświęconą serwetę, poczem zawiązał wszystko w czarną lnianą chustkę i wyszedł.

Zaledwie że zamknął drzwi cerkiewne, gdy usłyszał głos Tanasa, poganiającego osła. Zwierzę nie pokazywało wielkiej chęci do chodzenia po takiem gorącu. Pop wyszedł naprzeciw, pogłaskał osła, siadł na niego, a włożywszy węzełek w zanadrze, ruszył w drogę. Starzec szedł za nim pieszo.

Teraz drzwi były pootwierane, a pobożni wieśniacy, wiedząc, co pop niesie w zanadrzu, pochylali się i żegnali. Przy drzwiach domu czekała go żona, przysłaniając oczy ręką.

Radosny uśmiech rozjaśnił oblicze popa. Zatrzymał osła przed drzwiami, chciał coś żonie powiedzieć, ale brakło mu słów. I ona nie przemówiła ani słowa, tylko spoglądała na niego serdecznie, starając się uśmiechnąć.

Pop Narcyz pożegnał żonę skinieniem głowy i popędził osła. Wymuszony uśmiech znikł z twarzy popadji, rękawem otarła łzę, która się potoczyła z jej oczu.

V.

Droga spuszczała się po pochyłości, przez pola i winnice a potem przez gęste gaje oliwne, wspinała się w górę, aż do miejsca, gdzie stały trzy wiatraki unieruchomione przez ciszę. Stamtąd już rozpościerała się pochyła górska równina aż do brzegów morza, gdzie ostre przylądki głęboko wrzynały się w jego fale. Droga była nierówna, kamienista, źle utrzymana, ale widocznie tak osioł, jak i stary Tanas byli do niej przyzwyczajeni.

Niskie płoty z suchego kamienia odgraniczały drogę od winnic, poza któremi rozciągały się śnierniska, dalej zaś na lewo od drogi, pola orne, na gruncie nierównym, górzystym, które na prawo pochylały się stopniowo ku morzu Egiejskiemu, na którego dalekim widnokręgu rysowały się góry wysp sąsiednich.

Widok był prawdziwie wspaniały, ale pop nie zwracał nań uwagi. Umysł jego pracował w innym kierunku. Poczucie obowiązku i przykład starego Tanasa, rozpędziły na razie trwogę, lecz niebawem na nowo opanowała jego duszę. Przygotowania do drogi, obecność wieśniaków w drzwiach ich domów, pożegnanie z żoną, wpłynęły cokolwiek uspokajająco na niego, lecz teraz wśród głębokiej ciszy, która zdawała się zwiększać przez odgłos kroków osła i starca, gdy wrzące promienie słońca paliły mu ramiona, zjawiły się znowu straszne widzenia przed jego wylęknionemi oczyma. Wysilał się, aby opanować fantazję, lecz napróżno. Strach nieszczęśliwego przejmował!

Starzec milczał, zmęczony spiekotą i trudem pochodu po kamienistej drodze. W końcu pop westchnął, otrząsł się ze smutnych myśli, wstrzymał osła i obrócił się do starca. Wieśniak przyśpieszył kroku, dopędził go i zapytał:

— Co się stało ojcze? dlaczego się zatrzymałeś?

— Ja zlezę Tanasie, ty siadaj na osła, jak się zmęczę, to się znowu zamienimy.

— Co mówisz ojcze... żebym ja jechał, a ty żebyś szedł piechotą!?

— Lecz ty jesteś znużony starcze!

— Ja się zmęczyłem!? Jeszcze mnie nogi niosą, bądź spokojny.

Gdzie kto słyszał, aby duchowny z Panem Bogiem chodził piechotą a przewodnik żeby jechał na ośle!

Nie było co się spierać. „Naprzód!“ zawołał Tanas i popędził osła. Osioł ruszył szybko, lecz pop wstrzymał jego zapędy, ażeby starzec się nie męczył i żeby mógł z nim rozmawiać.

— Jak myślisz, czy go zastaniemy jeszcze przy życiu? — zapytał pop.

— Cóż ci odpowiem, był konający.

— Jak wyglądał, kiedyś odchodził?

— Jak wyglądał? Tak jak człowiek, który kona.

Tym to sposobem pop Narcyz chciał się dowiedzieć, jak wygląda człowiek umierający. Lecz odpowiedź wieśniaka nic mu nie wyjaśniła. On chciał, aby mu dokładnie przedstawiono obraz, o którym sama myśl przejmowała go strachem. Miał nadzieję, że w razie opisania mu dokładnego obrazu konania, oswoi się z tem

co jeszcze od dzieciństwa napełniało duszę jego trwogą. W głębi tej duszy znowu wszczynała się walka pomiędzy szlachetnem poczuciem obowiązku i niskiem uczuciem strachu. Obojętność z jaką starzec mówił mu o konaniu, gotowość z jaką powtórnie wracał do łoża umierającego nieszczęśliwca, — zwiększały jeszcze głęboko tajony wstyd, który pop odczuwał z powodu braku stanowczości.

— Ale dlaczego ty idziesz ze mną? zapytał pop starca, czy dla towarzyszenia mi?

— Tak, i dlatego, ale więcej jeszcze, aby być obecnym przy jego śmierci. Ty, ojcze, udzielisz mu ŚŚ. Sakramentów, i odejdziesz a ja zostanę. Całe życie był on samotny i odepchnięty; niech przynajmniej przy śmierci jego znajdzie się choć jeden chrześcianin!

— Ojcze Tanasie, ty rzeczywiście jesteś dobrym chrześcianinem. Niech cię Bóg błogosławi! Lecz to jest moją powinnością, którą spełnię do końca: ja mu zamknę powieki.

I wzruszenie ścisnęło mu gardło.

Milcząc jechali dalej. Droga tu nie była ogrodzona, szła ona przez zarośla krzewów i dzikich jabłoni, spuszczając się ciągle ku skalistym wybrzeżom wyspy. Wkrótce droga skręciła na lewo u stóp wysokiej góry i pop spostrzegł w oddali samotny cedr, w cieniu którego znajdował się szałas trędowatego.

Przed piętnastu laty Narcyz widział w cieniu tegoż samego cedru nieszczęśliwego pustelnika, który żył tam już od lat wielu. Przeżył tam całe życie, skazany na samotność, odepchnięty przez całą ludzkość, z strasznym dziedzicznym ciężarem, nie zawiniwszy niczem; żył tam, bez nadziei, bez pociechy, bez celu; sierota bez ojca i matki, biedny, bez pomocy, jeszcze w dzieciństwie był zarażony tą okropną chorobą.

Współmieszkańcy zmusili go do usunięcia się tutaj, zobowiązując się dostarczać mu żywności i ubrania.

W rzeczywistości ciężar ten dla gminy nie był wielki. Stary Tanas, którego pola graniczyly z pustelnią trędowatego, podjął się dostarczać mu chleba co niedzielę. Lecz miłosierdzie jego nie ograniczało się tylko na tem. Pomagał on nieszczęsnemu pustelnikowi w sprawie małego ogródka, przez naprawianie jego narzędzi, dostarczanie mu nasion i udzielanie odpowiednich rad. Lecz największem dobrodziejstwem dla trędowatego była sama obecność Tanasa.

Rozmawiał on z nieszczęśliwym, który z latami pogodził się z losem. Biedny pustelnik liczył z tęsknotą dnie i godziny do przyjścia Tanasa. Stary Tanas był jedynym węzłem, który go łączył ze światem. Nikt inny nie śmiał zbliżyć się do zarażonego. Jeżeli któremu z wieśniaków zdarzyło się przechodzić tamtędy, ograniczał się do pozdrowienia go z daleka, a niekiedy do złożenia jałmużny, na jakiej widocznej skale. Nikt się nie ośmielał zbliżyć i mówić do niego.

Ogródek w około szałasu był ogrodzony płotem z chrustu i dzikich krzewów, które biedny pustelnik sam zasadził. Od strony morza płot był przerwany, a dwa wielkie kamienie w kształcie słupów tworzyły rodzaj wejścia bez drzwi.

Ileż to razy siadał on tam, przypatrując się falom morskim, które już to rozbijały się o sąsiednie skały, już to pieniąc się, konały u stóp jego! Ileż to razy, patrząc z daleka na białe żagle łodzi, zazdrościł losu żeglarzom, którzy zdrowi i silni walczyli z żywiołami, zanim mogli powrócić do domów, gdzie ich oczekiwały kochające serca; a on przykuty do tej skalistej pustyni, samotny i zbolały, mógł tylko oczekiwać śmierci!

VI.

Przy wejściu do ogródka pop Narcyz zlazł z osła. Stary Tanas puścił swobodnie zwierzę, po spętaniu mu nóg przednich, poczem skierował się ku szałasowi. Pop szedł za nim. Po kilku krokach Tanas się obrócił i rzekł do popa:

— Siądź tu trochę na kamieniu, a ja tymczasem pójdę zobaczyć, co się dzieje z tym nieszczęśliwym.

Pop zatrzymał się, wyjął węzełek z zanadrza, rozwiązał go drżącemi rękami, złożył na kamieniu, a zdjąwszy kołpak, przeżegnał się i modlił.

Był on nadzwyczajnie blady. Mimowolna myśl, grzeszne życzenie, przebiegło mu przez głowę: A gdyby trędowaty już umarł! — Jeśli stary Tanas wróci i powie: „już skonał!“ Chociaż z odrazą odpychał to przypuszczenie, wyjął swój brewiarz i zaczął odmawiać modlitwę za umarłych.

Odczytywał modlitwę, ale myśl jego była gdzieindziej, — w szałasie trędowatego. — „Dlaczego stary Tanas tyle czasu tam siedzi?“ Pop skierował się ku szałasowi, ale przed wejściem

zabrakło mu odwagi. Postanowił zawołać i zapytać starca, lecz nie mógł dobyć głosu.

Nakoniec Tanas powrócił, wlepił w niego wzrok przerażony.

— Był bez przytomności, z trudem docuciłem go. Zaledwie szept jego dosłyszeć można. Przygasłe jego oczy zabłysły, gdy się dowiedział, żeś przyszedł ojcze. Idź do niego i posil go na drogę wieczności!

Pop zwrócił się ku wchodowi, włożył na się stułę, z pobożnością wziął święte naczynia i powrócił ku szałasowi. Bladość jego lica pokazywała tylko, jaka walka wrzała w jego duszy. Chód jego był stanowczy, ręce mu nie drżały, jak poprzednio, już się nie wahał; przeświadczenie o świętości swego posłannictwa, zwyciężyło ostatnie ataki strachu.

Gdy pop zbliżył się do drzwi, starzec, który szedł za nim, pociągnął go za suknię. Pop stojąc na progu, obrócił się. Rozwiane jasne włosy, rozsypywały się po ramionach.

— Ojcze, nie dotykaj się do płótna, które pokrywa twarz jego, on sam żądał, abym go pokrył, żebyś nie oglądał jego twarzy.

— Dobrze, rzekł poważnie pop, dopóki cię nie zawołam, nie trzeba abyś tam wchodził.

I wszedł do szałasu.

Tanas usiadł przy wchodzie na kamieniu i czekał.

I długo tak siedział, dziwiąc się, że pop ani nie wychodzi, ani go woła. Miał ochotę wejść do szałasu, lecz nie śmiał przestąpić zakazu. Czekał więc i patrzał na sine morze, falujące za podmuchem wiatru. Słońce zbliżało się ku zachodowi; otaczające rośliny wydawały woń orzeźwiającą; ptactwo morskie, wznosząc się w górę, napełniało powietrze świegotem; cała przyroda była wesołą i szczęśliwą i to w chwili, gdy trędowaty umierał.

Nagle starzec usłyszał lekkie kroki, obrócił się i spostrzegł, że popadja zbliża się do niego. Wstał i poszedł na jej spotkanie.

— Popadjo, co ci przyszło do głowy, żeby iść piechotą taki kawał drogi?

— Myślałam, że was spotkam wracających, a tymczasem powoli zaszłam aż tutaj. Gdzie mój mąż?

— W szałasie, przy trędowatym.

— Czy ten nieszczęsny żyje jeszcze, czy umarł?

— Cóż ci powiem, kiedy nic nie wiem.

— Czyś tam nie zajrzał?

— Pop mi tego zabronił.

Popadja zamilkła, lecz po chwili zaczęła z pewnym niepokojem:

— Wkrótce zmierzchnie.

— To nic nie szkodzi, noc będzie miesięczna. Ale pocoś ty tu przyszła?

— Przyniosłam mu opończę.

I pokazała piękną suknię popa Narcyza, starannie złożoną na ramieniu.

— Na co mu to? przecież ma na sobie suknię, a nie jest zimno.

— Może mu się przyda, odpowiedziała popadja.

Po namyśle Tanas rozpoczął:

— A może się lękasz tamtej sukni?

— Bo ja wiem? To zaraźliwe. Kto strzeże swego ubrania, na pół strzeże siebie.

Tak rozmawiając, doszli do wejścia ogrodzenia.

— Musiałaś się zmęczyć, popadjo, odpocznij sobie, usiądź.

— Nie, nie zmęczyłam się, czy mogę tam wejść ojcze Tanasie?

— A jak się pop zgniewa?

Popadja usiadła na kamieniu. Co chwila zwracała oczy ku szałasowi, na twarzy jej malował się niepokój. Starcowi żal jej było, a może i sam podzielał jej niepokój.

— Bądź spokojną, ja po cichutku tam zajrzę.

Powolnie zwrócił się ku szałasowi, wytężając słuch, czy jaki szmer nie dojdzie go stamtąd. Nic nie było słychać. Doszedłszy do drzwi, zatrzymał się. Usłyszał szept popa, tak cichy, że ledwo zdołał go uchwycić. Zajrzał do szałasu. Twarz trędowatego była zasłonięta przez osobę kapłana, który klęcząc z pochyloną głową odmawiał modlitwy. Białe płótno, którym Tanas pokrył był twarz chorego, leżało przy jego nogach.

Wieśniak po cichu cofnął się i powrócił do popadji. Ona jak skamieniała, śledziła jego ruchów, czekając powrotu.

— Coś zobaczył? — zapytała.

— Nic.

W tej chwili pop wyszedł z szałasu i powolnie zbliżał się ku nim. Był bez sukni. W rękach trzymał brewiarz i święte naczynia. Szedł z podniesioną głową, z pogodnym wzrokiem,

a wiatr rozwiewał jego jasne włosy. Widać w nim było innego człowieka.

Zbliżył się do starca i swej żony, nie wyrażając żadnego zdziwienienia, że ją tu znajduje. Tanas zaś i popadja nie ruszyli się z miejsca, czekając, aż się zbliży, nie zapytali go o nic, dopóki sam nie przemówił.

— Skończył, rzekł on.

Tanas i popadja przeżegnali się w milczeniu.

— Jutro rano przyjdziemy pochować go, dodał pop.

Głos jego był poważny, nakazujący. Nigdy żona nie słyszała go tak mówiącego. Słuchała go a oczy jej napełniły się łzami. Czuła, że ta ciężka próba wzmocniła na zawsze jego ducha.

— Czy mam tu zostać na noc?

— Jeżeli chcesz, zostań. Ja tu przyjdę bardzo rano, rzekł pop, a zwracając się do żony, która mu podawała opończę, dodał:

— Dobrześ zrobiła, żeś mi ją przyniosła, bo tamtą pokryłem umarłego.

I idąc obok siebie, powrócili oboje pieszo do domu.

Kartka z życia cechu szewskiego w Złoczowie.

Miasto Złoczów, które w swych murach gościło niejednokrotnie sławnego zwycięzcę z pod Wiednia, nieliczną z przeszłości posiada spuściznę. Do rozświetlenia urządzeń cechowych w Złoczowie przyczyniają się nieco duże księgi, zawierające zapiski cechu szewskiego, kilka kopji przywilejów, nadanych cechom przez Sobieskich i Radziwiłłów, i jeden przywilej na pergaminie, który pochodzi z roku 1577 [1]).

Zanim zajmiemy się nieco bliżej tym przywilejem z roku 1577, który rzuca pewne światło na urządzenia cechu szewskiego w szczególności, uważamy za rzecz niemal konieczną, skreślić kilka uwag o cechach rzemieślniczych w Polsce, aby na tem szerokiem tle, przywilej z roku 1577, wydany dla cechu szewskiego w Złoczowie przez Samuela Zborowskiego, w jaśniejszem przedstawił się świetle.

Dzięki wydaniu źródeł przez Dra Fr. Piekosińskiego [2]), które dostarczają nadzwyczaj bogatego materjału do dziejów cechów w Polsce i dzięki badaniu uczonych, jak ks. Chotkowskiego [3]), W. Stesłowicza [4]) i Z. Pazdry [5]), instytucja cechów w Polsce została po większej części zbadaną i wyjaśnioną.

[1]) Przywilej ten został wydany przez Dra Z. Uranowicza w „Przywilejach miasta Złoczowa i jego okolicy część II. Spraw. gimn. Złocz. 1901. str. 2-3.

[2]) Dr. Franciszek Piekosiński: „Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa“ (1257—1506)

Dr. Franciszek Piekosiński: „Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa“ (1507—1795).

[3]) Ks. Dr. Chotkowski: „Rzemiosła i cechy krakowskie w XV. wieku“, 1891.

[4]) W. Stesłowicz: „Cechy krakowskie w okresie powstania i wzrostu“. Kwart. hist. Rocznik VI.

[5]) Z. Pazdro: „Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od drugiej połowy wieku XIV. do połowy wieku XVII.

Cechy (die Zeche, Innung, confraternitas) były rodzajem przymusowego stowarzyszenia pracujących w pewnem rzemiośle. W Polsce nie były cechy instytucją swojską [6]), wykwitłą wśród warunków rodzimych, ale powstały na wzór podobnych instytucji niemieckich. Członkami cechu mogli być tylko ci rzemieślnicy, którzy pracowali w dziale rzemiosła, należącym do odpowiadającego mu cechu. Tylko majstrowie (mistrze), a więc samoistni rzemieślnicy używali pełnych praw stowarzyszenia cechowego, do którego należeli także towarzysze (Gesellen, Knechte, socii) i uczniowie (iuvenes, discipuli, Lehrjungen) [7]). Czas nauki trwał zazwyczaj 3—4 lat i kończył się wyzwoleniem ucznia, co go wynosiło do rzędu towarzysza (czeladnika), niby na drugi stopień drabiny cechowej. Czeladnik odbywał wędrówkę (peregrinatio, Wandern) do innych miast; trwała ona zwykle jeden rok. Wędrówka ta miała być dla niego niejako szkołą życia, miał wracać z niej wzbogacony w wiedzę i doświadczenie. Po wielu znojnych trudach i mozołach, osiągał towarzysz to, co było celem i marzeniem jego życia — zostawał mistrzem. O zadaniach, organizacji i przywilejach nie piszemy szerzej, gdyż przekroczyłoby to w znacznej mierze ramy, jakie sobie nakreśliliśmy.

Zajmiemy się teraz nieco bliżej przywilejem, nadanym dla cechu szewskiego w Złoczowie w roku 1577. Przywilej ten zawiera wiązankę ciekawych szczegółów, odnoszących się do dziejów tegoż cechu. Na samym wstępie czytamy, że na wzór innych cechów — zdaje się, że na wzór cechu krakowskiego, który był typem i wzorem dla cechów prowincjonalnych — z wielu przyczyn, a mianowicie „ku cci a ku chwale Bozey“ dalej „ku rozmnożeniu braterskiey miłoscy między braciey“ i „ku zachowaniu potciwości“ stanowi ten przywilej następujące „conditie“: Każdy nowo wstępujący do cechu powinien członków cechu na obiad zaprosić, beczkę piwa postawić i do kasy brackiej (skrzynki) 2 fl. zapłacić, był to rodzaj taksy, którą każdy nowo wstępujący członek okupić się musiał. Jeżeli który z członków cechu zaprzestał rzemiosła a później napowrót chciał wstąpić do cechu, musiał dopełnić tych samych warunków, co każdy nowo wstępujący członek a więc znów musiał wszystkich mistrzów, całą brać cechową na obiad zaprosić, beczkę piwa postawić i do kasy cechowej 2 fl. zapłacić.

Na wypadek, gdyby z innego miasta przybył majster kusztu szewskiego i gdyby chciał wstąpić do cechu, natenczas będzie musiał okazać akt stwierdzający wyzwolenie, podać u kogo przedtem przebywał, skąd pochodził, jak się przedtem prowadził, słowem po naszemu rzecz biorąc będzie musiał starszyźnie cechowej przedstawić swoje *curriculum vitae*, a gdyby do cechu się nie zapisał i bez zezwolenia cechu rzemiosło sprawował, natenczas będzie wolno cechowi zabrać jego „rzemiesła szewskie“. Za utratę klucza od kasy brackiej ustanawia przywilej jako karę pół beczki piwa. Na wypadek, gdyby cechmistrz wyjechał bez zezwolenia i dla sprawowania poruczonych mu funkcji nie pozostawił zastępcy, wówczas będzie musiał, jako karę, dać starszym członkom cechu po jednym groszu a młodszym po pół groszu. W suchednie ma każdy członek cechu być obecnym na nabożeństwie tzw. „żałomsze“ [8]) a jeśliby nie „beł“ (był) ma dać jako karę półgrosza i cztery świece, z których dwie mają być złożone w kościele a dwie w cerkwi. Cech szewski w Krakowie podobny miał zwyczaj: „kozdy na zalomszą suchodzienną powinien się stawić pod winą“ [9]) Na pogrzebie członka cechu mają wszyscy “utciwie y przestoynie“ wziąć udział a gdyby się nie zjawił starszy brat, ma zapłacić, jako karę, dwa grosze a młodszy jeden grosz. Za „zamieszkanie“ do cechu tzn. spóźnienie się na zgromadzenie cechowe, ustanawia przywilej jako karę dla starszego brata 1 grosz a dla młodszego pół grosza. Rozpoczęcie zgromadzenia cechowego oznaczano w ten sposób, że stawiano na stole „skrzynkę“ bracką (kasę). Na zgromadzeniach cechowych w Krakowie oznaczano rozpoczęcie obrad otwarciem „skrzynki“ lub wystawieniem świecy na oknie; jeżeli członek cechu przyszedł na zgromadzenie po wypaleniu się świecy, płacił karę. Największą karę ustanawia przywilej za targnięcie się w jakikolwiek sposób na brata cechowego, i tak za słowną obrazę ustanawia, jako karę, uiszczenie 12 groszy a za

[6]) Stesłowicz: „Cechy krakowskie“, str. 278.

[7]) Pazdro: „Uczniowie i cechy“ str. 4.

[8]) Żałomsza — nabożeństwo żałobne, egzekwje.

[9]) Piekosiński: „Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa. Tom II. część II., VIII.

czynną zniewagę prócz 12 groszy, które wpływają do kasy cechowej, także pewną kwotę na „wzy" (więzy), któremi winny ma być skuty. Ten sposób karania — jak się zdaje — był czysto lokalny. Przy wyzwoleniu ma uczeń uiścić dwa bezmiany [10]) wosku, 12 groszy i beczkę piwa. Członkowie cechu schodzą się na zgromadzenia cechowe co dwa tygodnie, każdy płaci wówczas do kasy po pół grosza; nieobecni członkowie mają również uiścić powyższą kwotę. Statut [11]) dla cechu szewskiego w Krakowie w roku 1608 zaprowadzał również zgromadzenia, które miały się odbywać co dwa tygodnie a za niejawienie się na cechu („zamieszkanie do cechu" wedle przywileju złoczowskiego) karał „mieczem lub ratusznem więzieniem", a więc ostrzej niż przywilej złoczowski. Przywilej złoczowski zakazuje dalej jednemu majstrowi przyjmować czeladnika od drugiego a za przekroczenie w tym względzie ustanawia karę 2 bezmianów wosku na rzecz kasy cechowej. Nie wolno członkom, stanowiącym cech szewski, wykonywać robotę w niedzielę i święta, bo „któryby beł przeświatczon isz w święta uroczyste robi" ma podzielić między członków cechu jeden bezmian wosku. Tylko złoczowscy członkowie cechu mają prawo na jarmarkach i targach sprzedawać swe wyroby, zamiejscowym szewcom nie wolno przybywać na targi miejskie, a gdyby który z nich ważył się przywozić swą robotę na targ, wolno cechowi zabrać jego wyroby. Obawa przed konkurencją była przedewszystkiem motywem tego warunku. W końcu ustanawia przywilej, że żydzi mają kupować skórę nie pojedynczo, ale dziesiątkami, a sprzeciwianie się temu karze aresztem. Na tem kończą się owe „conditie."

Przywilej ten został nadany na zamku w Złoczowie w roku 1577. Na pergaminie brak podpisu i pieczęci Samuela Zborowskiego, który nadał ów przywilej cechowi szewskiemu w Złoczowie; kawał pergaminu jest odarty, więc niezawodnie na nim istnieć musiał podpis i pieczęć Samuela Zborowskiego, a że istniały, świadczą o tem końcowe słowa przywileju: „a dla pewniejszey wiary tego bractwa pieczęciem swą roskazał przycisnąć y ręką własną podpisał".

Przewilej ten ma znaczenie czysto lokalne ale i badacz cechów rzemieślniczych w Polsce znajdzie w nim kilka ciekawych rysów. Z podobieństwa urządzeń cechowych w Złoczowie i Krakowie, nasunąć się musi uwaga, że cechy złoczowskie, podobnie jak i inne cechy prowincjonalne, wzorowały się na urządzeniach cechów krakowskich i niewątpliwie pożądanem byłoby zbadanie, w jak dalekich kręgach wpływ krakowski się rozchodził.

Aleksander Medyński.

[10]) Bezmian (przemian, przezmian), gatunek wagi, bez szal (Linde).

[11]) Piekosiński: Prawa przywileje i statuta m. Krakowa. Tom II. część II. VIII.

28)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

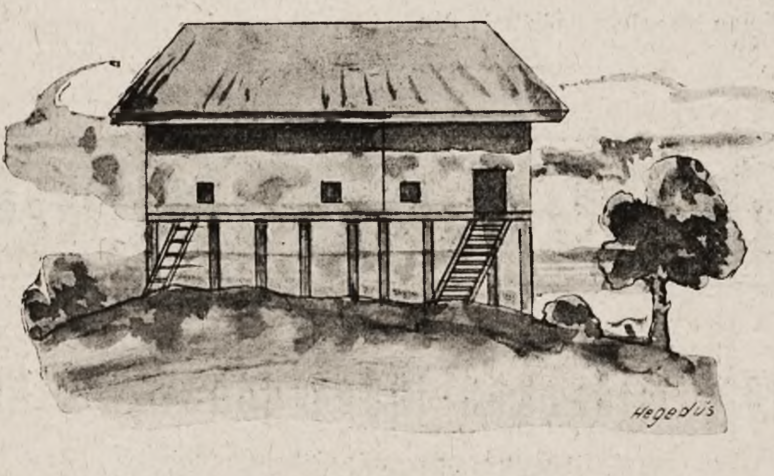
STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

W tym wypadku dawne mieszkanie palowe Daków zamieniło się dzisiaj na stodołę. Natomiast „rybacy na Dunaju powyżej Braily do dziś mieszkają na palach", tak samo jak i „Nowoczerkask w okręgu dońskich kozaków ma być częściowo na palach zbudowany" (Hartmann R. Über Pfahlbauten Zeit. f. Ethnol. II. 3). Również ciekawe wiadomości podaje p. Friedrich S. Kraus w sprawozdaniu o mieszkaniach południowo-słowiańskich. „Domy w których



WIZERUNEK 17.
Magasas rumuńska.

ludzie i bydło pod jednym dachem mieszkają, spoczywają na palach, a bydło i konie wspinać się muszą do stajni po schodach, wznoszących się od ziemi dość wysoko. Takie budowle znajdują się licznie w nizinach Sawy i Drawy. Budynki stoją wzdłuż rzeki jednak nieregularnie i dowolnie ustawione. Właściwej ulicy nie tworzą nigdy. Domy są z drzewa, **stodoły też na palach**. Śmiecie się **po prostu wyrzuca**, a w jesieni i na wiosnę, gdy przychodzą powodzie spływa gnój z wodą. Okna są małe i niewiele ich jest. Bogatsze rodziny mają prócz mieszkania spichrze i czeladnie na palach, podczas powodzi znoszą się ze sobą od domu do domu na łodziach“. (Zeit. f. Ethnol. XIX. Ver. 668.)



WIZERUNEK 18.
Palowa budowla z doliny Drawy.

Szczególnie bogatą i świeżą kulturę palową w językach słowiańskich, pojmuje się również zupełnie, jeśli się spojrzy na dzisiejszy układ wód na tej części karty Europy, którą Słowianie zamieszkują. Część ta to niby brzoskwinia, której pestkę twardą, skalistą stanowią Karpaty a po części wyżyna Podolska, a około tej pestki biegną niżowe porzecza Dunaju i jego dopływów Cisy, Sawy i Drawy, przez całe niegdyś słowiańskie Węgry, rozszerzają się u dolnego biegu Dunaju, skąd podają szerokopłaszczyznowe dłonie dorzeczu dolnemu Dniestru, Bugu, Dniepru i Donu. Dnieprem w górę idzie ukraińska równina i rozlewa się w końcu słynnemi błotami Rokitny Polesia nad Berezyną, Piną, Jasiołdą i Prypecią. Tam na dziale wód płynnym, przelać się można było ku dolinom Narwi i Niemnu i w ten sposób połączyć się znowu z niziną północną Słowiańską. Ogromne te przestrzenie znane Grekom, którzy już za czasów Herodota w 5-tem stuleciu przed Chrystusem, puszczali się w celach handlowych w te strony czyniły wrażenie jednolitego bagna...

Nie dziwo więc, że osady słowiańskie pilnować się musiały dróg wodnych i że z wielu względów lepiej im było mieszkać bodaj na palach, ale blisko otwartego i świetlistego ,,świata“, niż szukać suchszych pozornie, ale za to ciemnych miejsc, borem i lasami zarosłych. Im zaś dalej ku morzu bałtyckiemu i niemieckiemu, tem było wilgotniej, gęściły się jeziora, rosły bagna, las rzedniał, oczeret ogarniał sobą olbrzymie płachy mokrego kraju.

Rostafiński w swojej „Polsce pod względem fizjograficznym“, pisząc o Małopolsce, powiada: „Małopolska (wyżej od Połabia, Pomorza położona i więcej ku południowi a za tem suchsza) była przeważnie lesistą, w której błota otwierały suchszy świat tylko w dolinie Wisły, Wieprzu i Pilicy“. Szajnocha opisując zaś Wielkopolskę w dziele „Jadwiga i Jagiełło“, porównywuje ją ze słynnem Polesiem Pińskiem: „Przypomnijmy sobie, jakie mnóstwo łodzi, łódek, pławiczek, pławic, obijaników, szuhalej, o trzech a nawet czterech masztach, wiosłuje na jeziorach pińskich

z nadejściem wiosny, a poweźmiem wyobrażenie o tłumie żagli na wodach wiosennych ówczesnej Polski“. (Tom I. str. 9.)

Zaprawdę Polesie dzisiejsze skutkiem swego płaskiego położenia, na dziale wód, do niedawna jeszcze, świadczyło całością swego układu fizycznego o gdzieindziej już minionej przeszłości. Piaszczyste lub z gliną zmieszane wydmy wyłażą łbami swymi z wody i zarastają lasami, dając jednocześnie miejsce dla dzisiejszych osad wiejskich. Na tych ostrowach (które użyczają nazwy licznym starym siołom: Ostrowiec, Ostrowo, Ostrowitle i t. d.), rosną rozmaite drzewa. W ten sposób system ostrowów zarastających lasami, błota, jeziora i rzeki stanowią typową formację krajów, jakich Polesie było do niedawna ostatnim szczątkiem.

Ostrowami suchszymi zaś całej Polski, w wielkich rozmiarach biorąc, była wyżyna podkarpacka (od 200 do 500 m.) obejmująca górne brzegi Warty i Pilicy a kończąca się Łysą Górą na północ od Sandomierza. Inny język wciska się między San i Wieprz i między Wieprz a Bug i jeszcze wyżej między Bug a Niemen, patrząc się na wschód ku grzbietowi Białorusia, na południe łącząc się z płaskowzgórzem podolskiem, zamyka w ten sposób zatokę niższą wodzisk Polesia. Druga warstwa już nizinna (od 100 do 200 m.) to płaszczyzna Śląska, wschodnia część Wielkopolski i Mazowsze z wyjątkiem rondla bagiennego u ujścia Bzury, Bugu, Narwi i Odry do Wisły. Średni bieg Wisły aż po Warszawę, średni bieg Niemna, Pojezierze pruskie i kaszubskie zamykają drugi stopień; niejako schód ziemny ku morzu. Progiem morskim natomiast jest ta cała nizina, gdzie rozsiadła się niegdyś zrzadka Słowiańszczyzna połabiańska i przyodrzańska. Tam wobec bardzo małych różnic wyniosłości na pobrzeżu morza północnego i bałtyckiego, bagna i mokradła pozostały tysiące lat dłużej w swoim wpływie na życie mieszkaniowe i dziś jeszcze west-pfahlowie (palowcy zachodni niemieccy) nie są wolni od wpływu torfowych bagnisk na ich gospodarczą twórczość.

Widzimy więc, że istniały na naszych ziemiach wszelkie warunki, które sprzyjają rozrostowi palowych mieszkań, tego pierwszego nieodzownego warunku przy osiadłej gospodarce.

Obowiązkiem jest naszym, jako badacza, do wniosków nieprzeparcie się nasuwających ze śladów językowych i z ówczesnego wiarogodnie wymiarkowanego i historycznie stwierdzonego układu fizycznego krajów słowiańskich, dać starożytnicze i historyczne dowody istnienia tamże niegdyś mieszkań i układów palowycn nabagiennych i nawodnych.

Zacznijmy od najdawniejszych czasów. Na Pomorzu badania wykazały istnienie budowli palowych od najstarszych do najmłodszych. Według „Światowida“ ślady palowych mieszkań z epoki krzemiennej są pod Jarosławiem galicyjskim i Dziakle lubelskim. Prócz tego za najstarsze ślady budowli palowych uważać należy wszystkie uwarstwowione śmietniska kuchenne, które pozostały się jako świadectwa bagien przedhistorycznych w miejscach dziś już zupełnie suchych. Za czasów Herodota w 5-tym wieku przed Chrystusem, północny stok Karpat od słońca przysłonięty, u stóp borów, wodę korzeniami zatrzymujących położony, był gniazdem mokradeł i bagien, z których wypływał Dniestr. Dziś jeszcze nazwy odwieczne Sambor w krainie zamieszkałej przez „Biessów“, Bieczów i „drugich Bieczów“ (Drohobycz) według Ptolomeusza, świadczą o gęstości „samych borów“ dziś z lasów ogołoconego Podgórza. Mimo to, do teraźniejszych czasów dotrwały drobne lecz dość jeszcze rozległe ślady Herodotowych bagien naddniestrzańskich. Około 18.000 łąk i torfowisk wzdłuż Dniestru w powiecie samborskim i drohobyckim należy do tych ostatków bagiennych. A jednak kąt ten błotnisty był gniazdem cywilizacji, do którego dostawali się już greccy sprawozdawcy Herodota w 5-tem stuleciu przed Chr. po bobrowe specjały. Otóż w tym starym kącie, znalazł p. Demetrykiewicz uwarstwowione nasypy ziemne z odpadków węgli i popiołu, ułamków krzemienia, kości i urn uczynione. Sam Demetrykiewicz zestawia je z kurhanami z pod Drohobycza, Przemyśla i Lubelskiego i nasypami węgierskimi w dolinie Alpöldzkiej nad rzeką Cisą po drugiej stronie Karpat. Nasypy węgierskie według Virchowa i badacza włoskiego a znawcy w tym kierunku Pigoriniego są podobne zaś do słynnych „Terra maricoli“ włoskich w dolinie Padu, utworów niewątpliwie do palowej kultury należących. „Trzeba więc pójść za zdaniem powyższych uczonych“, powiada słusznie

p. Demetrykiewicz „i uważać badane kurhany w Drohobyckiem, Przemyskiem i przez Olechnowicza w Lubelskiem za zabytki mieszkań czyli siedlisk ludzkich z epoki przedhistorycznej“. Dodać należy, że podobne nasypiska „odpadków kuchennych“ znaleziono również w basenie Dniepru i koło Warszawy (Światowit I.). Natomiast nie mogę się zgodzić z wątpliwościami p. Demetrykiewicza, ażali utwory Drohobyckie zaliczyć należy do szczątków palowej kultury. Sam p. Demetrykiewicz widzi bowiem najściślejszy związek między nasypami Drohobyckimi a Terramare węgierskiemi do tego stopnia, że nawet wedle bardzo interesującego wywodu przypuszcza, iż obydwa utwory z tej i z tamtej strony Karpat do jednego ludu należą (Materjały do Antrop. archeolog. Tom II. str. 133. i 134.).

Terramare węgierskie zbadane natomiast zostały przez badacza, który zęby niejako zjadł przy swoim zawodzie, prof. Virchowa. Prof. Virchow również powołując się na zdanie Pigoriniego, z początku z właściwą sobie ostrożnością wątpił o słuszności domysłów włoskiego uczonego, który sądził, że „w wielu wgłębieniach widział szczątki stojących pali“. Badając jednak, jak niewierny Tomasz, sam osobiście Terramare węgierskie, dochodzi do następujących wniosków:

„Nakoniec udało się nam znaleźć poszczególne z prostopadłych i poziomych szczelin, które jeszcze częściowo widocznymi śladami drzewa były wypełnione. Nie mogło już więc ulegać żadnej wątpliwości, że prostopadle stojące pale były zawarte we wzgórzu a mianowicie w podobnym układzie, jak w Terramare koło Emilji“. Co więcej: podobne utwory tylko znacznie późniejsze znalazł Virchów w północnej Słowiańszczyźnie, w Sassowie koło Chonebuza i w Płocowie (Potzlow), o których zresztą pomówimy, jako o nowszych rzeczach później nieco“ (Zeitschrift f. Ethnologie. VII. Ver. 130—247). Uwagi powyższe tem są ciekawsze, że łączyłyby się z pierwszemi wiadomościami Herodota o Słowianach, miejscowo i kulturalnie określonemi i może posłużyłyby do czasowego określenia początków osiedleń słowiańskich. Do starych bardzo śladów palowych osiedleń należą już w Prusach Wschodnich przez dr. Heydecha znalezione mieszkania w Kownatkach, „do których użyte drzewo jeszcze klinami krzemiennymi było ścinane“.

(C. d. n.)



EMMA JELEŃSKA

22)

Z MIŁOŚCI.

Nagle ramię jego otoczyło ją i pociągnęło w tył tak silnie, że straciła równowagę i upadła mu na piersi. A on ustami wpił się w jej szyję.

Chciała krzyknąć, ale głosu nie mogła wydobyć — przerażenie, gniew, wstyd, porwały ją za gardło. Wyśliznęła mu się z ramion i popędziła w górę.

A w tej chwili otworzyły się drzwi jej mieszkania i głos Karola się odezwał:

— „Zaczynałem się niepokoić, myślałem, że coś wam się przytrafiło. Gdzieżeście spacerowali do tak późna?“

A Lutek odpowiedział: — „Zaszliśmy aż pod Hutę. Taki piękny czas! A gdyśmy się zmęczyli,

odpoczywaliśmy w lesie — zbieraliśmy kwiaty. O, widzisz — co za pęk! Kuzynka wygląda, jak Flora en *personne*“.

XV.

„Co teraz zrobić?“ myślała Wanda, stojąc u drzwi balkonu, gdy się nakoniec rozeszli, i późną nocą zabierali się do spoczynku. „Co teraz zrobić? Przecież tak zostać nie może. Powiedzieć Karolowi?.. Nigdy! Więc co? Zmusić Lutka do wyjazdu. Przedstawić mu całą niewłaściwość ich położenia, niebezpieczeństwo, nieuczciwość — powiedzieć mu, że jechać musi, bo odkąd stała się rzecz taka, pobyt ich wspólny pod jednym dachem jest niemożliwy. Powiedzieć mu, że ona tego chce, tego wymaga, że jeśli ma dla niej choć trochę życzliwości, jeśli ją szanuje, jeśli ją kocha...

Kocha?... On ją kocha?... Więc ona jeszcze może być kochaną?

Coś w niej drgnęło na to przypuszczenie.

— E, gdzieżtam! On młody, z przyszłością przed sobą — miałby kochać ją, zużytą, złamaną i smutną kobietę, prawie równą mu wiekiem, a tak starą już myślami i sercem! On, egoista, zgarniający zawsze pod swe stopy względność, sympatję, poświęcenia, grzeczność ludzką, aby mu było wygodnie i miło po nich stąpać, on-by miał wzrok swój skierować w te zmroki i w te cienie ponure, w których ona żyła, on-by miał odczuć tragizm jej duszy! On, dla którego jego własna istota wypełniała świat cały po brzegi, dla którego jego własne uczucia były alfą i omegą bytu, on miałby zaciekawić się inną istnością i chcieć zajrzeć w inne serce? Nie, on nie był zdolny kochać wzniośle, bo miłość wymaga zapomnienia o sobie — oddania się. A on tylko brać umiał.

Więc cóż?... cóż to było? Ach, była tylko krew młoda, nic więcej. Wszakże był mężczyzną! A dzień był taki piękny i ciepły, a taki pogodny wieczór! i zapachy sosnowego lasu takie zawrotne! i powietrze, przesiąkłe złotą barwą, takie upajające! Ot i wszystko. Byłaby inna pod ręką, tę innąby całował. O, nie! nie była to miłość! wprost tylko rozbujałe na wolnem powietrzu zmysły, drzemiące zwykle spokojnie, a teraz słońcem i wiatrem polnym rozbudzone.

I śmieszną byłaby, biorąc to do siebie. To, co ją dziś spotkało, spotkałoby również inną. Znała go przecież. Ani mu się śniło dotąd brać ją, tę poważną kuzynkę, za cel swych zapałów. Przylgnął do niej, bo mu była dogodną, wyzyskiwał ją, ale pewnie sam ani się obejrzał, że ona była jeszcze młodą i ponętną. Dzisiejszy wypadek jest tylko wypadkiem i nie ma ani głębszego źródła, ani zapewne dalszego biegu mieć nie może. W każdym razie jednak, on musi wyjechać. Narażać się na powtórzenie takiej sceny, ona nie powinna i nie chce.

Tak, jutro powie Lutkowi stanowczo, że jechać musi.

Gorycz w niej wezbrała. Oto, czem była kobieta dla mężczyzny! Zacność, cnota, obowiązkowość, obejście pełne powagi, intencje najczystsze ustrzedz nie mogły jej godności człowieczej. W każdej chwili, mężczyzna przypominał jej, że tylko dla niego, dla jego przyjemności została stworzoną. Dawał jej uczuć, że jest mu tylko zabawką chwilową — a niczem, niczem więcej.

O, porzucić to wszystko! wyjść z tego świata, zrzucić te kajdany, nie potrzebować nikomu złużyć — i odetchnąć powietrzem czystem i być gdzieś daleko, daleko od tego wszystkiego — i zapomnieć!

Wyjrzała na balkon. Ale dostrzegła na drugim balkonie iskierkę cygara, więc cofnęła się. „Jutro mu powiem, żeby wyjechał“, pomyślała. „Chybaż sam nie będzie chciał pozostać! Czuć przecie musi, że mnie obraził. Nie jestem jakąś Linetką. Tak, wyjedzie z pewnością. Ale cóż potem będzie?“ spytała siebie nagle. „Co ja pocznę bez niego?“ I wrócił przed nią obraz dawniejszego jej życia — puste mieszkanie, nieskończone godziny samotności, bezczynność, bezmyślność, cisza, grób. A z mężem rozmowa urywana, o bieżących przedmiotach, rozwieszające się w powietrzu wzajemne do siebie pretensje i żale — zimno — mróz. O, Boże! i to wszystko znowu powróci! Z jego wyjazdem zniknie cel życia, odejdzie ta dusza samolubna, ale już taka blizka i swoja, nie będzie o kim myśleć, o kogo się troszczyć, dla kogo się uśmiechać. Pustka, milczenie i samotność!

A może Julka miała rację? Ten ból, co ją na myśl o rozstaniu przeszywa — czy nie jest to miłość? Miłość? Nie! Raz tylko w sercu uczciwej kobiety prawdziwa miłość powstać i rozkwitnąć może. Ona kochała Karola — kochała pra-

wdziwie. Cóż ztąd, że zamiast rozkwitnąć wspaniale, miłość jej zwiędła i zeschła? — ale nikogo już w życiu kochać nie może. Zresztą, i siłyby nie miała.

Jutro powie Lutkowi... Może on nie posłucha — nie zechce jej opuszczać? On nie kocha, to pewno — ale przywiązał się przecież do niej prawie po dziecinnemu, potrzebuje jej, bez niej obejść się nie może...

Ach, cóż mu się dzisiaj stało? taki był dotąd przyzwoity! Potrzebne mu to było! Tak sobie i jej zepsuć spokojną dotąd egzystencję.

Posłyszała kroki męża, idącego do sypialnego pokoju. Więc zamknęła drzwi od balkonu i poczęła się rozbierać. „Jednak zmarszczek jeszcze nie mam wcale“ pomyślała, patrząc na swe odbicie w zwierciadle — „czy ja wyglądam na lat trzydzieści?“ Długie włosy rozpuściła na ramiona i z jakąś zmysłową rozkoszą zatopiła w nie ręce. Jakie były miękkie! jakby żywe!

Chciało się jej płakać, ale zarazem i śmiać się była gotowa. Dziwnie jakoś była dziś podniecona.

Tymczasem Karol nie kładł się jeszcze do łóżka. Postawił na stoliku świecę, położył gazety, zegarek i pugilares i stał chwilę zamyślony. Nie patrzał na żonę — z głową pochyloną skupiał się w sobie. O, jakże mu ciężko było! Od czego zacząć? czem ją sobie znowu zjednać?

Zbliżył się do niej. Odchrząknął. Ona spojrzała na niego tak obojętnie, jakby był sprzętem w jej pokoju. Spytała jednakże ze zwykłą grzecznością: „A co? potrzebujesz czego?“

On odchrząknął raz jeszcze. „Dziś w sądzie, mieliśmy zajmującą sprawę“ zaczął, a głos jego drżał nieco od gwałtu, jaki sobie zadawać musiał. „Przyjeżdżali z Petersburga sławni adwokaci. Co za wymowa! To są znakomitości w swoim zakresie.“ Przeciągnął rękę po czole, które się marszczyło boleśnie. „I udało im się. Uniewinniono podsądnego, chociaż, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, był ostatnim łotrem. Prawdziwy typ zbrodniarza urodzonego, à la Lombroso. Otóż i ci panowie na tem przeważnie osnuli obronę. Rzecz była taka... Ale ty mnie nie słuchasz?“.

Rzeczywiście, Wanda nie słuchała. Patrzała na męża szeroko otwartemi oczami, nie rozumiejąc, dla czego on jej coś tam o jakiejś sprawie opowiada? Dotąd tego nigdy nie bywało! I cóż ją tam mogła obchodzić jakaś cudza sprawa! miała swoich własnych dość. I czemże dla niej byli jacyś adwokaci, jacyś podsądni i sędziowie i ich wymowa i ich zbrodnie i ich świat cały! Miała teraz własny świat swój...

— „Co ci jest, Wando? Wyglądasz taka roztargniona... pewnie nawet nie wiesz, o czem mówiłem? No, przyznaj się — powtórz“ dodał, probując żartować i uśmiechnąć się. Twarz jego nie złożyła się jednak do uśmiechu a tylko skrzywiła się.

Ale ona tego nie zauważyła. Myślała: „Czego on chce? po co mi to wszystko mówi?“ I zaczynała ją niecierpliwić ta rozmowa. Odpowiedziała jednak:

— „Owszem, wiem. Mówiłeś coś o jakiejś sprawie...“

Obojętność przebijała w jej głosie. Nie, ona wcale nie była ciekawa tej sprawy, ani żadnej z tych, które go obchodziły. Julka myliła się, przypisując jej tak silną chęć wtajemniczenia się w jego życie. Zdaje się, że o tem nie myślała wcale. Ale była jakaś dziwna, roztargniona, coś musiało jej leżeć na sercu, może miała jaką przykrość? może czegoś pragnęła?

— „Co ci jest, Wando“? powtórzył pytanie, i wziął jej rękę w swoje. „Wydajesz mi się dziś smutną, czy ci czego potrzeba? czyś może chora? Mów...“

Ale ręka jej pozostała bezwładna i zimna w jego dłoni, a usta jej nie otworzyły się nawet. Tylko głowa pochyliła się niżej na piersi i rozsypane włosy zasłoniły przed nim jej twarz. Boże! jak ona nieraz tęskniła dawniej do takiego zapytania! Teraz, było ono spóźnione. Pod jej spuszczonemi powiekami zaszkliły się łzy, ale zostały powstrzymane wysiłkiem woli — i nie popłynęły. A po chwili odezwał się jej głos zupełnie spokojny:

— „Nic mi nie jest. Wcale nie jestem ani smutna, ani chora, i niczego mi nie potrzeba.“

Stali przy sobie w milczeniu. W jego piersi zbudziła się chęć porwania jej w ramiona, odsłonięcia włosów z jej twarzy, i zajrzenia w głąb tych oczu, co się przed nim kryły, a z ust rwały mu się słowa:

— „Wiem, że masz serce pełne żalu do mnie — słusznego może żalu. Ale ja cię kocham — i nie chcę byś była smutną! Więc powiedz mi wszystko i złóż głowę w ramiona moje,

i kochaj mię po dawnemu. A ja gotów jestem całego siebie ci oddać, i wszystkiem z tobą się dzielić. Tylko mię kochaj!“

Słowa te nie wyszły jednak z ust jego, tylko westchnienie z nich wyleciało. I powoli wzbierał w nim żal. Wszak przyszedł z dobrą wolą, robiąc ofiarę nie małą. A jakże go przyjęła?

— „Późno już. Trzeba iść spać — ozwał się jej głos suchy i obojętny. Wysunęła rękę, i wziąwszy grzebień, rozczesywać zaczęła swe długie włosy. On pozostał jeszcze chwilę, popatrzał na jej spokojną i jakby zamkniętą twarz, i odszedł.

„Czy się Julka nie pomyliła?“ myślał, kładąc się do łóżka.

— „Co mu się stało dzisiaj!“ myślała ona, gasząc świecę. Czy to także wpływ wiosny, jak u Lutka. Prawdopodobnie! wszyscy oni tacy sami. A z Lutkiem jutro się rozmówię. O, Boże! kiedyż się to wszystko skończy!“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Opale* — poezje Bronisławy Ostrowskiej (Edma Mirz). Warszawa. Jan Fiszer 1902. W utworach, pisanych przez kobiety, uderza najczęściej to, że są one jakby małym dalszym ciągiem czegoś, co rozpoczął i dokończy kto inny. Demonstrując na przykładzie wierszy wymienionych powyżej stwierdzić to można począwszy już od tytułu. Należy on do kategorji tych tytułów, które to nic nie mówiąc o treści wierszy ma charakteryzować ogólne ich wrażenie — te wiersze, opalizują, mienią się nikłymi barwami — i być przytem dość egzotycznym. Tak jak w tem poszła autorka za drugimi tak i wiersze jej stanowią miejscami lepsze a miejscami, gorsze echa liryki współczesnej. Bardzo dobre pod względem formy najzewnętrzniejszej, służą one jakby do tego, aby wyraziły jeszcze raz myśli uczucia i nastroje, które wypowiedziano albo nie do końca, tj. tylko ponaznaczano, albo też w formie rezultatów, tj. pokazano, co się z czegoś tu i owdzie stało, ale bez podania szczegółów drogi do tego. Pani Ostrowska nie wyczerpuje oczywiście sfery rojeń, ani nie dodaje do niej nowych wartości poetyckich, stanowiących materjały liryki współczesnej; uzupełnia ją tylko indywidualnem jej zabarwieniem. Sprawia ono, że wiersze te czyta się z zajęciem, jako ułamki stanów przejętych, ale jakoś zaasymilowanych i wyrażonych tak zręcznie, że aż robią wrażenie szczerości. Szczególnem upodobaniem autorki jest przystosowywanie przyrody do uczuć osobistych i na odwrót i z tego aljansu powstały „opale“ najbardziej zbliżone do naturalnych.

St. W.

C. Bouglé: *Idea równości.* Wydawnictwa Polskiego towarzystwa nakładowego.

Od połowy roku 1900 ukazują się co kilka miesięcy nowe książki, przeważnie z dziedziny nauk społecznych, wydawane staraniem Polskiego towarzystwa nakładowego we Lwowie. Są to zawsze prace cenne. Studjum Bouglé'go o idei równości zasługuje ze wszech miar na uwagę czytelników.

Autor w sposób ściśle naukowy bada warunki powstania i rozwoju w społeczeństwie idei równości; analiza jego jest przeprowadzona w sposób bardzo metodyczny. Gęstość zaludnienia, powstanie wielkich centrów miejskich, łatwość stosunków między obywatelami kraju, złożoność węzłów społecznych — oto warunki, na których tle powstaje i rozwija się idea równości.

Bouglé słusznie twierdzi, że równość nie oznacza jednorodności, lecz przeciwnie, godzi się doskonale z rozrostem indywidualizmu. O ile ten ostatni w społeczeństwie jest większy, o tyle łatwiej powstaje poczucie równości obywateli.

Idea równości nie wymaga jednakowego ilościowo udziału wszystkich obywateli w nagromadzonych bogactwach, oznacza tylko równe prawo wszystkich do korzystania z tych ostatnich w stosunku do oddawanych społeczeństwu usług. Dla określenia tego stosunku należy wszystkich obywateli postawić w jednakowo dogodnych warunkach rozwoju.

Autor nie uważa, żeby w społeczeństwach pierwotnych (rodowych) urzeczywistniała się idea równości. W społeczeństwach tego typu nie może być mowy, jego

zdaniem, o równości jednostek, gdyż te ostatnie nie mają egzystencji indywidualnej, nie wyodrębniają się, lecz tworzą razem jednolitą całość, zlewając się ze sobą. Zresztą wrogie stosunki poszczególnych grup społecznych uniemożliwiają rozwój poczucia równości ludzi w ogóle. Dopiero w epoce wszechświatowego panowania Rzymu po raz pierwszy powstały warunki, sprzyjające powstaniu tej idei. W poglądzie powyższym jest nieco przesady. W prawdzie nie można uważać stanu społeczeństw pierwotnych za ideał równości; w każdym jednak razie nie można zaprzeczać, że w granicach małych grup rodowo-plemiennych poczucie równości było silne i wynikało z ustroju społecznego, nie znającego przywilejów i stanów.

Bouglé ma słuszność, twierdząc, że indywidualizm nie istniał w społeczeństwach tego typu, ale okoliczność ta nie może oznaczać braku poczucia równości. Natomiast prawdą jest, że w społeczeństwach pierwotnych nie mogła się rozwinąć idea równości wszystkich ludzi w ogóle. Poczucie równości istniało tylko wewnątrz grupy.

Z zupełną słusznością w epoce współczesnej widzi Bouglé wszystkie warunki dla rozwoju i urzeczywistnienia się idei równości.

Analiza współczesnych złożonych stosunków naszej cywilizacji jest przeprowadzona przez autora w sposób mistrzowski. Wnioski jego są analogiczne do wniosków Simmla i Durkheima. Z prac tych uczonych Bouglé wiele skorzystał.

Urzeczywistnienie w współczesnem życiu społecznem idei równości, jest koniecznością ze względu na charakter podstaw naszego obecnego życia zbiorowego. Dążności równościowe wtedy tylko mogłyby osłabnąć, a nawet zniknąć, gdyby gęstość zaludnienia zmniejszała się, gdyby centry życia społecznego — miasta zanikać zaczęły, gdyby środki komunikacji i podział pracy zaczęły ustępować z widowni życia.

Autor nie rozpatruje kwestji, czy idea równości jest słuszną czy nie, i zadawala się badaniem warunków jej rozwoju.

Dzieło Bouglé'go odznacza się wielką ścisłością argumentacyi i stanowić może wyborną szkołę myślenia socjologicznego.

Przekład dzieła dokonany przez p. Zygmunta Poznańskiego jest wzorowy.

Książka Bouglé'go ze względu na ważność zagadnień, umiejętne ich rozstrzyganie i bogactwo myśli, którego w krótkiej naszej notatce nie mogliśmy uwidocznić, znaleść się powinna w ręku każdego inteligentnego człowieka. *L. K.*

NOTATKI. *Teatr narodowy w Zakopanem.* Piękną myśl i godną zastanowienia rzucił w inteligencję polską w ostatnim numerze „Ilustracji Polskiej" p. Adolf Nowaczyński ze znaną sobie werwą i tym razem, wyjątkowo, nikomu osobiście nie pokazawszy języka. Teatr Narodowy w Zakopanem — „polski Bayreuth, polski Beziers, nasze Igrzyska olimpijskie, narodowe święto, Koleba odrodzenia"!.. P. Nowaczyński widzi go już wyraźnie „oczyma duszy" takim, jaki stanie, stanąć powinien, ba — stoi już w setkach serc polskich. Zbudowany on będzie na Gubałówce poniżej gmachu jezuickiego od północnej strony, na tle strzelistej bramy świerkowej, „dziwny, ogromny gmach, na podmurowaniu z głazów, o drewnianych ścianach, śmiałych belkowaniach, zuchwałych wieżyczkach, z których powiewają już od Poronina, a z Kalatówek, a z Czerwonego Wirchu i Koszystej, widne biało-czerwone sztandary"... Na frontonie napis „Teatr Narodowy" a wewnątrz sala prosta, wytworna, mogąca pomieścić przeszło tysiąc dwieście osób. Naturalnie architektura i urządzenia wewnętrzne „od budki suflera, ornamentacyj drewnianych lóż, od rysunku przepysznego żyrandolu elektrycznego zacząwszy, a na linjach krzeseł parterowych i na strojach bileterów skończywszy", wszystko to jest pomysłem Stanisława Witkiewicza i innych artystów podhalskich. W „Teatrze narodowym" grają tylko Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Fredrę, Wyspiańskiego... Reżyserę artystyczną obejmie Wyspiański, reżyserę sceniczną L. Solski. Grać będą wszyscy wybitni aktorzy polscy, którzy w miesiącach letnich nie wiedzą zazwyczaj, co ze sobą czynić. — Piękny zaiste sen, marzenie, które chyba łatwo stać się może rzeczywistością — byle znalazł się znaczny kapitał (znalazło się już podobno kilku ludzi dobrej woli i takich, którzy przeczuli interes), byle znaleźli się wykonawcy energiczni całą duszą i bezinteresownie sprawie narodowej i sztuce oddani. Rzeczywiście „Teatr Narodowy" stać się może „wielką ostoją narodowego stylu, świątynią romantycznego ducha polskiego, zkąd rozbrzmiewać mogą złociste symfonje szczytnej poezji, zkąd rozsiewać będzie można wielkoduszne hasła w serca ludzi z wszystkich czterech zaborów, bo i z pod przemożnej Apatji. Tu będzie się pielgrzymować nietylko dla wspaniałości akcesorji i dekoracji, wyjątkowego artystycznego zespołu wirtuozów i niezwykłych senzacyj — ale dla podniesienia ducha, oczyszczenia sumienia obywatelskiego, dla kaźni społecznej i otuchy w rasową misję i posłannictwo polityczne". Z głębi serca polskiego, w imię miłości ojczyzny i w imię miłości sztuki przyklasnąć się musi tej pięknej myśli i oby jak najprędzej położono granit pod jej tęczę!

Jeszcze słówko o samym „projektodawcy". O pomyśle „Teatru Narodowego" słyszał piszący te słowa jeszcze przed miesiącem i wtedy autorem tego pomysłu był zupełnie kto inny. Sprawa ta zapewne zostanie jeszcze wyświetloną. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8